№ 25. Warszawa, dnia 10 (22) Czerwca 1887 r. Rok XXIII.



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA

Co za dziwne czasy nastały!... stanowczo coś się w niebie zepsuć musiało, a i we wnętrze ziemi jakieś nieporządki się wkradły, raz po raz słyszymy o burzach, katastrofach, powodziach, trzęsieniach ziemi, awanturach atmosferycznych it.p. niespodziankach, które grożą mieniu, życiu, zdrowiu i spokojowi bezbronnych śmiertelników.

Nie koniec na tem; uczeni geologowie, metereologowie, astronomowie przepowiadają jeszcze gorsze siurpryzy dla świata, poczem dopiero będzie lepiej dla tych, którzy tego dożyją.

Ponieważ nie mam ochoty wynosić się z tego teatru, nazwanego „Globem“ przed ukończeniem zajmującego widowiska, mam nadzieję doczekać się zmian pomyślniejszych, pogodniejszego nieba, spokojniejszej ziemi, a tymczasem cieplejszej aury, którąby w połowie Czerwca nie przypominała Listopada.

Te chłody zepsuły nam nasz letni karnawał i pogrążyły w najczarniejszym humorze *sportsmenów* lądowych i wodnych; obiecywano sobie tyle z wyścigów na Mokotowskich Polach, które na nowym torze, w nowem ogrodzeniu, wśrod nowych trybun, lóż, stajen i totalizatorów miały nabrać więcej europejskiego splendoru, a tymczasem deszcze i chłody psuły po większej części zamierzony effekt.

Niepocieszone muszą być nasze damy, dla których wyścigi są zarazem wystawą strojów, najświeższej mody, najbardziej oryginalnego gustu, szyku i zbytków. Wszystko to ma już w naszej prassie specyalnego sprawozdawcę, który argusowem okiem „tam sięga, gdzie wzrok“ profanów sięgnąć nie może, i sumiennie opisuje każdy kostyum, każdy kapelusz, każdą falbankę na naszych warszawskich strojnisiach. Raut, bal, wieczorek, koncert, wyścigi, chrzest czy ślub w naszym high-life'ie, nie obejdzie się bez całych szpalt szczegółowego sprawozdania modnej kostyumologii.

Nie każdemu chyba śmiertelnikowi nieba dały tak płaską głowę, aby go nawet w sezonie ogórkowym zajmowały pompony hrabianki P. lub stanik uroczej pani K.

Wogóle kwestya toaletowa za dużo nam zabiera czasu, miejsca i pieniędzy.

Byłem przed dwoma tygodniami na przedstawieniu najnowszej komedyi p. Kazim. Zalewskiego, o której nie miałem przyjemności pisać na tem miejscu sprawozdania, ale która nastręczyła mi tęsamą uwagę zpowodu wystawnych strojów aktorek. Dumas zabierał niegdyś głos w prassie francuzkiej, powstając na kwestyą spódniczkową, i dowodził, że suknia ruinuje aktorkę, jak wystawa teatr. Olbrzymie summy pochłania garderoba bohaterek dzisiejszej komedyi, i pierwszych naiwnych; talent ich pracuje na krawcowę i modystkę, wszystkie niemal dochody idą na fatałaszki, w których próżność kobieca równoważy się z ambicyą artystyczną.

— Daj mi pan złą rolę — mówiła jedna z nich do autora — bylem mogła w każdym akcie pokazać się w nowym kostyumie, a będę miała powodzenie.

Obawiam się czy na naszej scenie nie zanosi się na podobny obłęd i czy nasze Sary Bernhardt, nasze Croisetki i Samary nie zaczynają zanadto rywalizować materyałem na suknie, zamiast materyałem swego talentu.

Skromniej i taniej, byle z dobrym smakiem: oto zasada, jaką radbym widzieć wypisaną nad naszą garderobą teatralną. Stało się to zwyczajem, że żadna nowa sztuka nie może się obejść bez nowych toalet; wydatki na gałganki strojne wzrastają, ale honorarya autorów... pozostają, niestety, bez zmiany.

W tych warunkach wolałbym być krawcową teatralną, niż komedyopisarzem: miałbym przytem większe dochody, a mniej kłopotów z krytyką.

Wychodząc zza kulis, muszę przejść przez scenę, na której powiewnemi nóżkami magnetyzuje obecnie włoska balerina Zucchi niedobitków tradycyi baletowej. Oryginalna to tancerka, która więcej zdaje się mieć talentu dramatycznego, niż zdolności do pląsów.

Nie znam się nic na „szkole“ i prawidłach wyrzucania nóżkami w górę i w bok, nie wiem, jakiego geniuszu potrzeba do młynkowania całem ciałem w takt muzyki; ale to wiem, że po raz pierwszy na balecie zacząłem rozumieć wymowę gestów i mimiki, patrząc na p. Zucchi. Zdawało mi się, że słyszę jej monologi, że mógłbym nawet spisać to wszystko, co ona rękoma, nogami, grą całej fizyognomii wypowiada w tańcu.

Południowy temperament zaciera może łagodną i estetyczną miarę wdzięku w jej ruchach, ale działa na widza urokiem siły, zapału, pewnej poezyi zmysłowej, którą córa gorącej Italii zaprawia swój taniec.

Piękne dnie sławy naszego baletu minęły, żyje on resztkami dawnej tradycyi, ale coraz więcej ociężały, powiększa balast sceny, zmuszonej utrzymywać go kosztem innych działów sztuki. Repertoar nie przedstawia również nic uwagi godnego, ale chcąc go odnowić według dzisiejszej modły zagranicznej, potrzebaby ogromne summy ryzykować z wątpliwem powodzeniem. Więc, jak pajac na sznurku, balet warszawski odskakuje swoje dawniejsze sztuczki.

Z początkiem Czerwca rozpoczął się sezon ogródkowy; trzy namioty rozbiła sobie Melpomena w Belle-Vue, Alhambrze i w Nowym-Świecie, ale Boreasz i Danaidy psocą jej i przeszkadzają złośliwie. Stanowczo ogródki się przeżyły w Warszawie; truppy wędrowne źle zorgani-

zowane, dobór sztuk nie ciekawy, gra niżej krytyki. Jeszcze najwięcej obiecującem wydało mi się towarzystwo p. Szymborskiego w Alhambrze: nie brak w niem rutyny, brak tylko wybitniejszych talentów. Reszta—Bożego zmiłowania wygląda. Litość bierze patrzeć na owych panów dyrektorów, z których każdy wygolony, wystrojony z uroczystą miną składa wizyty po redakcyach i stereotypowo zapewnia, że zrobił wszystko, co do niego należało, a teraz losy swoje składa w ręce szanownej prassy, od której całe powodzenie zawisło. Albo to prawda!...

Człowiek nie ma serca ganić, ale sumienie nie pozwala mu chwalić; pozostają tedy teatrzyki ogródkowe na łasce publiczności, która kieruje się, już nie smakiem do sztuki, ani miarą krytyczną, ale smakiem... piwa, i tam bardziej uczęszcza, gdzie lepszego bawara świeżo zpod czopa spodziewać się może.

Melpomena poszła tedy zupełnie w arendę Gambrynusa; oby jej tam lekko było w tej służbie!...

Ostatni raz patrzałem na biedną „Lenę“ p. Karczewskiego (Maryana Jasieńczyka), która pomimo zalecania sądu konkursowego, nie mogła się dostać na warszawską scenę, bo jej zarzucano pewne grzeszki drażliwej natury, zapomniawszy, iż onego czasu wystawiano u nas „Dyonizę“ i „Odettę“ i „Georgettę“ i „Françillon“, o wiele grzeszniejsze od tej biednej polskiej rozwódki, która tem błądzi, że kocha—nie złego męża, ale kuzynka.

Otóż patrzałem na srogą pokutę biednej „Leny“ skazanej przez losy na wędrowną tułaczkę po prowincyi i tortury w Belle-Vue.

Postanowiłem zatrzymać się dziś dłużej w dziedzinie sztuki, dlatego z ogródków przechodzę do naszego Salonu przy Krakowskiem-Przedmieściu, gdzie zapobiegliwy komitet na wabika sprowadził i wystawił kilkanaście obrazów zagranicznych mistrzów, a między nimi „Wjazd Alaryka do Rzymu“ prof. Lindenschmida, „Pięć zmysłów“ i „Wiosnę“ Makarta.

„Alaryk“ jest dziełem wielkich rozmiarów, opartych na wyjątku z historyi Rzymu według Gregoroviusa. Wódz gotów na początku V-go w. po Chrystusie oblega Wieczne Miasto i do zrabowanej Stolicy świata wjeżdża jako zwycięzca polecając swoim żołdakom, aby świątyniom chrześcijańskim zwrócić zabrane skarby i kosztowności.

Widzimy go w przepysznej zbroi na karym koniu, assystującego młodzieńcom, którzy na noszach z gałązkami oliwnemi w ręku, dźwigają mnóztwo złotych i srebrnych naczyń i apparatów kościelnych zrabowanych w katedrze św. Piotra. Na ulicach wre jeszcze mord i orgia rozszalałego żołdactwa, korzystającego z praw zwycięzców.

Obraz duży, malowany starannie, ale z jakąś sztywnością akademicką i chłodem niemieckiego profesora — sprawia wrażenie ugrupowanych figur woskowych. Lindenschmit liczy dziś około sześćdziesięciu lat, utworzył mnóztwo dzieł mniejszej i większej wartości artystycznej; przeważnie Reformacya dostarczała mu tematów do obrazów. Tym razem sięgnął w historyą dalszą, ale chybił effektu. Przed jego „Alarykiem“ widz staje zimny, obojętny, nieczuły, nie wierzy ani w popłoch, ani w tryumf, ani w szlachetność zwycięzcy, zamyka zupełnie zmrużone oczy i wraca myślą do innego obrazu, który miał sposobność podziwiać na tem miejscu, a który dzisiaj znajduje się na wystawie w Paryżu; przypomina sobie wjazd tryumfalny „Dziewicy Orleańskiej“ i nie chce potem patrzeć na „Alaryka,“ aby sobie wrażenia nie zepsuć.

Obok Lindenschmita w drugim przedziale roztasował się Makart i kilku malarzy dzisiejszej szkoły niemieckiej; ostatnie dzieło nowoczesnego Rubensa: „Wiosna,“ zajmuje najwięcej miejsca. Umarł przy pracy nad tą allegoryą, która ma wiele wspólnego charakteru z wiosną tegoroczną; jest niezupełną, nieskończoną, zamało eteryczną, powiewną i poetyczną, mogłaby w części uchodzić za lato, a w części za jesień, gdyż kwiaty egzotyczne na drzewach zdaleka podobne są do o-

Jako ostatnie dzieło, ostatni fragment ma ta „Wiosna“ więcej pamiątkowego niż artystycznego znaczenia. Do dziewicy u zdroju przyjeżdża strojny młodzian na koniu, który ma maść osła, kształty wielbłąda, a cały wygląd apokaliptycznej bestyi; dziewica traktuje swego gościa wodą kryniczną w kryształowej czarze, którą on odsuwa z gestem, jakgdyby mówił:

— Nie piję.

Dokoła amorki igrają, całują się, pląsają w uroczej i naiwnej nagości na tle zieleni bujnej i nieba szafirowego, jak farbka do bielizny.

Najważniejsza zaleta Makarta: koloryt, stanowi w tym obrazie jedyną stronę dodatnią, ale tylko przez swą żywość, nie przez poprawność.

Owiele lepiej przedstawiają się „Zmysły“, wcielone w pięć kobiet, doskonale odżywionych, lekceważących wszelkie przesądy i prawa przyzwoitości i pozujących z wdziękiem modelek z eleganckiego świata.

Wiadomo, iż twórca „Katarzyny Cornaro“ i „Wjazdu Karola V-go do Antwerpii“. lubował się głównie w nagich kształtach niewieścich; ciało żywe, jędrne, różowe, tętniące krwią, ale pozbawione duszy, stanowiło dla Makarta przedmiot ulubionych studyów. Wystarczaia mu sama powłoka zewnętrzna kobiety, którą malował ze znawstwem sybaryty, z lubością sensualisty; o wyraz twarzy, o głowę swoich postaci kobiecych mało dbał, dlatego robił je podobnemi do owych biustów z mydła lub wosku na wystawach fryzyerskich: są piękne, ale apatyczne, bezmyślne najczęściej, z klassycznym spokojem patrzące na świat, obojętne na wszystko, co się dokoła nich dzieje.

Tosamo znajdujemy w „Pięciu zmysłach“, w których kult ciała przebija jedynie; zmysły tu są, ale umysłu ani krzty.

Za to malowane to wszystko przepysznie, po rubensowsku, niektórych torsów i biustów nie powstydziłby się i Tycyan.

Zajmującym pod względem pomysłu i wykonania, a zwłaszcza techniki malarskiej jest, oile pamiętam, drugi dopiero widziany w Warszawie obraz Gabryela Maxa pod tytułem: „Viviscetor“. Przed dziesięciu może laty podziwialiśmy tu jego „Głowę Chrystusa“ na chustce św. Weroniki; obecnie mamy tendencyjną allegoryą: litość, która uczonemu chirurgowi przynosi psiątko przeznaczone do studyów anatomicznych, a nad którem dokonaną ma być operacya w żywem ciele. W jednej ręce postać kobieca trzyma źwierzę, w drugiej wagę, na której gorejące serce przeważa mózg laurem uwieńczony i zdaje się mówić do siwobrodego mędrca:

— Patrz, uczucie zawsze rozum przeważy.

Mniejsza o allegoryą, ale zobaczcie jak to wszystko malowane, z jakim smakiem, z jaką precyzyą.

Max posiada znakomitą technikę, dziwaczy w pomysłach, ale jest bardzo skrupulatnym i dokładnym w wykonaniu. Choćby dla niego samego warto odwiedzić wystawę Towarzystwa Zachęty, bo nie często zdarza się widzieć u nas dzieła tak skończone pod względem malarskim.

„Salon“ nasz staje się interessującym przybytkiem sztuki, dzięki komitetowi, który w energii, pomysłowości i dbałości o dobry smak przewyższa dotychczasowe zarządy tej instytucyi, a robiłby jeszcze więcej, gdyby publiczność usiłowania jego lepiej popierać chciała.

Quis.

Zdrowe wychowanie i kształcenie umysłu.

Niezmiernie ważną kwestyę poruszył pisarz francuzki, Juliusz Rochard, w *Revue des deux Mondes* z 15 Maja: „L'education hygiénique et le surmenage intellectuel.“ Niedawno, bo na ostatniem posiedzeniu Paryzkiej Akademii Medycznej, dr Dujardin-Beaumetz zarzucał to wychowaniu kobiecemu, że przez przeładowywanie nauką umysłu młodych dziewcząt osłabia je, nietylko fizycznie, ale rozszerza zakres wiadomości kosztem intelligencyi i nazwał tak prowadzone wychowanie: „éducation forcenée.“ Obecnie Juliusz Rochard, członek tejże akademii, oskarża naszą epokę o wadliwy, a nawet więcej—o ciężko szkodliwy systemat edukacyi, który wyszedł nie z namysłu pedagogów, ale „ustalił się przez bezwiedną siłę rzeczy.“ Postęp nauk rośnie. Praca wieków zbogaca zapasy wiedzy ludzkiej, wytwarzają się coraz nowe nauki i nowe ich gałęzie, mnożą się odkrycia i wynalazki, łatwość kommunikacyi rozpowszechnia je w sposób, nieznany przeszłości; gdy z drugiej strony nowożytny układ życia, nowe ustosunkowanie się warstw społecznych, wprowadza w nauczanie względy na przyszłe zawodowe zajęcia uczącej się młodzi. Wszystko to kazało wsiąkać w nauczanie coraz-to nowemu materyałowi naukowemu, rozszerzyła się nauka języków i razem wytworzył się plan nauczania, o którym Rochard pisze:

—„Każdy krok na drodze cywilizacyi, każda zdobycz w zakresie intellektualnym stawała się nowem przeciążaniem (nouvelle surcharge) programmatów nauczania. Obecnie doszliśmy do granicy ostatniej; ładunek stał się za ciężkim i jest to rzeczą najwyższej konieczności (de toute nécessité), aby część jakąś rzucić w morze, jeżeli nie chcemy, aby cały okręt zatonął.“

Nadmierne kształcenie umysłu sprowadziło zaniedbanie wychowania fizycznego, siła członków zmniejszyła się i wraz z nią zmniejszyła się w młodzieży złączona z nią dzielność męzka. Niedawno jeszcze—pisze Rochard—jedno, dwa pokolenia w tył, chłopcy oddawali się z uniesieniem ćwiczeniom ciała, byli dumni z siły swych muskułów, ze zręczności, chyżości — z męzkości swojej i w następstwie tego stawało się dla nich chwałą gardzić boleścią, znosić dzielnie braki, wyzywać niebezpieczeństwa. Dziś nie kryją zamiłowania w dobrobycie i obawy przed cierpieniem niedostatku, a czyż nastrój taki, pomijając nawet względy na fizyczność, nie grozi niebezpieczeństwem wielkiem? Czy moralność nie cierpi nad tem? Cnoty szlachetnej abnegacyi muszą się zatracać, a użycie i środek zapewnienia go sobie: zamożność materyalna, wysuwa się przed oczy młodzieży na plan pierwszy.

Ludzie oduczają się nawet chodzić; zatraca się w młodzieży chęć wycieczek dalszych, które zastępuje wygodna podróż drogą żelazną, ale ginie przy tej wygodzie wyrabianie się i zaprawianie do trudu, poezya złączona z miłością natury, ginie odporność fizyczna na okoliczności zewnętrzne: zimna i upału, chłodu i głodu, co łączyć się musi koniecznie z odpornością moralną i panowaniem człowieka nad łaskami i niełaskami losu. Instynkt zachowawczy słabego każe mu poszukiwać warunków dobrobytu, bez których istnienie jego zagrożonem-by się czuło.

Śpiesząc się do głównego swego założenia autor zaledwie dotyka wielkich korzyści moralnych z mocnem i zdrowem ciałem złączonych, i ogólnikowo się wyrażając, wspomina tylko o męzkiej edukacyi fizycznej, ale zupełnie tosamo powtórzyć można o wychowaniu dziewcząt. Tu nietyle potrzeba gier atletycznych, bo natura domowych zajęć gospodarstwa kobiecego, zwłaszcza u dziewcząt wychowujących się na wsi, już je w znacznej części zastąpić może, byle tylko wychowanie nie było pieszczotliwem i wielkopańskiem w dzisiejszem znaczeniu tego słowa, bo dawne pamiętniki pokazują nam, jak gospodarnie była zajętą kobieta nasza, senatorskich nawet rodów. Niech też dziewczynka od małego rusza się i w posługach rodzinnych krząta, niech sama się ubiera i sprząta swój pokój, niech jej matka każe się często wyręczać w zawiadywaniu gospodarskiem, i nie lęka się dla niej zbytecznie wiatru, słońca, przyłożenia pracowitej ręki do różnych czynności wytwarzania zapasów spiżarnianych,—niech ją uczy, aby była pożyteczną wśród domowego ruchu pracownicą: a rozwiną się w niej siły potrzebne. Zdrowa, świeżością kwitnąca, nie wejdzie potem